Fabrykowanie absolwentów

Przekształciliśmy uczelnie w fabryki dyplomów. Wydajne, ale liche.

Czynny profesor ekonomista, zapamiętany jako eks-polityk,[72] przywitał rok akademicki echem słów największego pośród polskich magnificencji wypowiedzianych na zakończenie roku akademickiego 2012/13.[73] Oczekiwałem wrzawy jak niegdysiejszy rwetes wywołany frazą „*Fabryki bezrobotnych*" przez człowieka biznesu[74]. A tu cisza, idzie niż. Nauczyciele akademiccy wyczuwają koniec karnawału.

Pełen wigoru profesor sypie z rękawa dobre rady apelując do ambicji uczelnianych struktur i autorytetów by w taśmowej produkcji pilnowali jakości, dobrowolnie rezygnując z ilości. Zapomniał dawne nauki: to byt kształtuje świadomość, a patronką uczelnianego bytu nie jest dobra wróżka ani ślepa koniunktura tylko aktualna ministra. Dostajemy fundusze proporcjonalnie do liczby studentów i tego się będziemy trzymać. Skoro ciągle jeszcze połowa maturzystów nie czuje powołania do studiów, to ich ściągniemy: pikniki i festiwale przekonają niezdecydowanych, że warto studiować za darmo, miejsca i stypendia czekają. Wymowny profesor też będzie za tym głosował.

Głosowałem i ja, gdy rada wydziału przyjmowała coraz to wyższe limity miejsc na naszych kierunkach, cieszyłem się z innymi, gdy jesienią oznajmiano, że limity udało się przekroczyć. Nielicznych malkontentów uciszał bezceremonialny komentarz dziekana:

Chcemy etatów, nie ma innej drogi.

W kolejnych kadencjach pomruki cichły, tylko w korytarzach utyskiwaliśmy na niewygody masowego nauczania beanów. Dziekanowi, który limity zamroził i ustalonych pilnował, nie daliśmy drugiej kadencji. Gdy nadszedł piękny czas studiów zamawianych okazało się, kto miał rację: warunkiem ministerialnego zamówienia było dalsze zwiększanie limitu.

System doskonale nam służy, ulubione dochody z nadgodzin to ledwie lukier, nasz tort skrywa słodsze delicje. Pierwsi zakosztowali ich wegetujący na dawnych kontraktach dla obsługi zleceń; bez formalności otrzymali stabilne etaty adiunktów, czy uczyć potrafią, nikt nie pytał. Zatrudniani co roku asystenci i adiunkci dobrze wiedzą, że argumentem szefa, który etaty załatwił, była liczba studentów. Już na posadach szybko polubią wzmacniające ten argument techniki rozmnażania godzin przy minimalizacji fatygi. Dla podparcia własnej pozycji, beneficjent systemowej lukrecji zorganizuje zespół - z nazwy badawczy, lecz finansowany z dydaktycznych dochodów *per capita*. By zatrudnić kolejnego pomocnika zaproponuje *ad hoc* nową specjalność, przedmiot lub w ostateczności etat fikcyjnego technika, byle dziekan pensję zapłacił.

Kolejne generacje zatrudnianych poddawane są presji by produkować badawcze wyniki, dokumentowanie naukowych sukcesów cementuje zespoły. Z dydaktyki, która funduje im etaty, rozliczać się nie muszą, gdzieś tam odrabiają godzinowy szarwark. Każdego dnia pamiętamy, że z łaski rozporządzeń szeroko otwarte uniwersyteckie wrota są najpewniejszą rękojmią naszych karier. I profesor zdaje się to rozumieć

Zmiana tego systemu wymaga wsparcia władzy publicznej

...reakcje na negatywny rozwój sytuacji są bardzo spóźnione i, co gorsza, w większości nieadekwatne.

Wymowny profesor woli nie wyjaśniać, dlaczego.

Studenci z masowego naboru co roku kończą studia, choć na egzaminach dyplomowych mamy wątpliwości, czy wszyscy powinni. Skoro jednak doszli aż tutaj... Na studia doktoranckie przyjmujemy także szeroko (głowa doktoranta warta jest pięć studenckich), co roku obserwujemy ich

---

[72] *Plecy profesora*, wywiad z Jerzym Hausnerem, Tygodnik Powszechny nr 40 (2013), s. 4.

[73] *Uniwersytet nie fabryka*, rozmowa z rektorem UW, Polityka nr 24 (2013), s. 62.

[74] Por. s. 14, *Rwetes*.

finalne popisy. Zabiegi promotorów w dobieraniu „właściwych” egzaminatorów i recenzentów potrafią zapewnić doktorantowi sukces („skoro dotarł aż tutaj…”).

Długo zanim profesorowie nazwali problem po imieniu, pisała bystra dziennikarka[75]:

„*Niewygodna prawda, ale studia nie są dla wszystkich.”*

Odrobiła lekcje, dowodem jej cytat z socjologa[76]:

„Na tych, którzy przychodzą na uczelnię wyłącznie po jakikolwiek dyplom, lata studiów nie wpływają pozytywnie. Przeciwnie – studiowanie na niby nasila w nich nawyk robienia wszystkiego na niby, życia na niby.”

Z reporterką nikt nie dyskutował, gorzko-kwaśne uwagi profesorów też potrafimy przeczekać.

Podsłuchane na schodach, po rozdaniu dyplomów:

„*Gdy pomyślę jakim jestem inżynierem, boję się iść do lekarza.”*

(*Niespokojny październik 2013*)

[75] Joanna Cieśla *Studiuj i rób co chcesz,* Polityka nr 25 (2012) s. 28.

[76] Tamże cytowany: prof. Wojciech Łukowski.